

SUKCES

jest jak narkotyk

Rozmowa z Tomaszem Najduchem, członkiem Kadry Narodowej karate kyokushin w latach 1990-2005, jedenastokrotnym Mistrzem Polski, pięciokrotnym zdobywcą Pucharu Polski, pięciokrotnym mistrzem Europy, zdobywcą Pucharu Europy i medalista Pucharu Świata, zdobywcą mistrzostw Ameryk Północnej i Południowej, wicemistrzem Państw Arabskich 2002.



fotografie: archiwum T. Najduch

Dlaczego karate? Czyli jak to się zaczęło?

Zaczął się od mojego przyjaciela. Trenował karate. Pokazywał mi różne ciosy, bloki. Jednak od 5 lat trenowałem piłkę nożną. Byłem już nawet w kadrze wojewódzkiej. W końcu w 1987 roku dałem się namówić. Wtedy trenerem w Oświęcimiu był Zbigniew Zieliński. Zaimponował mi jego autorytet wśród chłopaków. Wykonywali jego polecenia bez mrugnienia okiem.

Nie było Panu żal piłki nożnej?

Nie, bo narkotykiem dla sportowca jest sukces. W karate osiągnąłem go bardzo szybko, już po 3 miesiącach. W turnieju organizowanym w Oświęcimiu, zająłem drugie miejsce, a w 1988 roku wygrałem Mistrzostwa Śląska i zakwalifikowałem się na Mistrzostwa Polski. Rok wcześniej odbywały się one w Rybniku. Pojechałem popatrzeć na najlepszych karatek w kraju. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że za kilkanaście miesięcy będę z nimi walczył, popukałbym się tylko w głowę. Ale tak się właśnie stało.



To brzmi trochę, jak bajka.

To fakt. Wtedy nie miałem opanowanej techniki. Wyróżniałem się tym, że parłem do przodu jak czołg. Byłem zapalczywy, nieustępliwy i głodny sukcesów. Dostałem nawet ksywkę „Tank”. Na mistrzostwach województwa wygrałem pierwszą i drugą walkę. W walce półfinałowej, z której miał się wyłonić mój przeciwnik, jeden z zawodników wykonał ushiromawashi, kopnięcie nogą z obrotu w twarz. Nieszczęśliwie jego rywal uległ kontuzji, trafił do szpitala, a on sam został zdyskwa-

lifikowany za brak panowania nad techniką. W ten sposób przy odrobinie szczęścia, po dwóch latach od rozpoczęcia treningów zakwalifikowałem się do Mistrzostw Polski i pojechałem w 1989 roku do Dębic.

A zatem debiutant contra najlepsi w kraju?

Dokładnie tak. Już w pierwszej walce trafiłem na Eugeniusza Dadzibuga z Sosnowca, aktualnego Mistrza Polski właśnie z Rybnika. Samej walki nie pamiętam, ale podobno działo się. I wygrałem !!! Stałem się rewelacją tych zawodów. Doszedłem do finału, w którym walczyłem z aktualnym Wicemistrzem Europy, Mirosławem Zuziakiem z Bielska Białej. Odnośnie walki finałowej, walczyłem sercem i ciałem lecz przegrałem z doświadczeniem zawodniczym.

Ale ten tytuł w tak krótkim czasie to przecież sukces?

Oczywiście. Zostałem szybko powołany do kadry narodowej, w której byłem od 1990 do 2004 roku. To był bardzo intensywny czas. Miałem po dwanaście turniejów w ciągu roku.

Czasem nawet dwa w miesiącu. A to jechałem na Puchar Świata, a to na Mistrzostwa Europy, Japonii, USA i wiele innych. Żyłem na walizkach.

Czy z tego można było się utrzymać?

Walczyliśmy za przysłowiowy „uścisk prezesa”. Na wyjazd dostawaliśmy znikome diety, a to tyle, co nic. Musiałem pracować. Zatrudniłem się początkowo, zgodnie z wykształceniem, w przemyśle górniczym. Jednak nie było szans, żeby pogodzić dwuzmianowy system pracy z treningami. Dostałem propozycję pracy w firmie ochroniarskiej. Pracowałem na różnych stanowiskach związanych z ochroną. To była optymalna sytuacja. Praca w piątek i sobotę, a w tygodniu trening.

Na ochronie też można było poćwiczyć?

Nie. Tam starałem się jak najrzadziej używać swoich umiejętności. Pracowałem w ochronie przez 15 lat, tyle ile byłem w kadrze narodowej. Wiem, jaki jest stereotyp „ochroniarza”, ale ja z nim walczyłem, choć nie było łatwo. To były lata dziewięćdzie-

siate czyli techno, narkotyki, różne grupy przestępcze. Trzeba było bardzo ostrożnie stąpać, żeby się nie pobrudzić tym g....

A z drugiej strony zdobywał Pan międzynarodowe tytuły mistrzowskie. Które z tych wydarzeń było szczególne?

W 1993 roku w katowickim Spodku odbył się turniej OyamaCup. Nazwa pochodzi od założyciela stylu kyokushin, Masutatsu Oyama. Był on obecny na tych zawodach. Doszedłem do finału. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie że dojdę tak daleko, gdyż ćwiczyłem dopiero pięć lat i byłem w kadrze B. W finale spotkałem się z moim kolegą z kadry Eugeniuszem Dadzibugiem. Dla mnie walka była o tyle trudna, że – była bratobójcza i dodatkowo Sensej Dadzibug kończył karierę i według mnie należał mu się ten tytuł (był faworytem). W tym finale wygrała młodość. Do tej pory moją największą satysfakcją jest fakt, że nagrodę wręczył mi osobiście Masutatsu Oyama, który niestety rok później odszedł.

W 2004 roku zakończył Pan karierę sportową, co się działo przez te 12 ostatnich lat?

Rzeczywiście odszedłem z karate i zacząłem uprawiać inne sporty – półmaraton, tratlion. Jednak cały czas czegoś mi brakowało. W tym czasie, szczególnie Rafał Szlązak, mój przyjaciel i również karateka, nama-



wał mnie, żebym otworzył własny klub, uwierzył w siebie. Początkowo chciałem zatrudnić się jako trener w innych, istniejących klubach, ale jakoś to nie wyszło. W końcu pięć lat temu, wraz z Markiem Sitarzem i Bartkiem Winklerem, stworzyliśmy własną szkołę – Katowicki Klub Sportowy Karate. Zaczął się od trzech chłopaków. Myślałem, że nic z tego nie wyjdzie. Ale dziś z perspektywy czasu okazało się że poszedłem w dobrym kierunku. Pracujemy z małuszkami, przedszkolakami, dziećmi również niepełnosprawnymi – organizujemy turnieje, jeździmy na obozy zimowe i letnie, na turnieje do zaprzyjaźnionych klubów. Wspierają nas też różne osoby. Mogę liczyć na przyjaciół naszego klubu, zawsze na Rafała Szlązaka, który jest często orędownikiem naszych działań. Jednym słowem robię to, co lubię. Ale to już temat na inny materiał.

Dziękuję za rozmowę